

BABELAMU.

S z a f a.

(Powiastka.)

Na Wołyniu, niedaleko Babilowa, na granicy błót i lasów które zowią Polesiem, w pięknej własnej wiosce, z bielonemi kominami, mieszkał niedawno, poważany i szacowany od wszystkich, prócz własnej żony, P. Paweł***, były powiatu swojego Podkomorzy.

Był to człowiek od lat 40 wieku, rubaszny, otwarty, grzeczny, jak wszyscy wołyniacy. Żył skromnie, jak większa część okolicznych obywateli. Zwykłą jego odzieżą był stary szlafrok, welniana szlafmyca i dziurawe bóty; sam wszystkiego doglądał i wchodził w najmniejsze szczegóły gospodarstwa: pełno go było w stajniach, oborach, na gumnie i w polu: częstokroć sam nawet, czasu żniwa, włazłszy na stertę zboża, układał snopy, lub zdołu podawał je widłami, w czém szczególniejsze znajdował upodobanie. Z resztą nikt mu tego za złe nie miał; prenumerował bowiem Kuryera Litewskiego i obdzielał nim wszystkich sąsiadów, na mil dziesięć do koła. Stąd też wszyscy niezmiernie go kochali, szanowali i często odwiedzać starali się. Jedynym wyrzutem który mu, poniekąd sprawiedliwie, krewni czynili, było powtórne ożenienie się. Wkrótce bowiem po śmierci pierwszej żony, pojechawszy w interesach familijnych do Wilna, zakochał się na starość i, nie długo myśląc, ożenił, z młodą wdową po jakimś oficerze, który zginął był, jak powiadano, w ostatniej kampanii, — nawet pomimo wiedzy syna swojego, zostającego na naukach, w tamiecznym uniwersytecie, i jego ciotki, a najbliższej sąsiadki swojej, Pani Sędziny.

Wystawcie sobie tylko jakie musiało być podziwienie tej ostatniej, niemniej jak wszystkich sąsiadów, gdy nagle rozeszła się po całym powiecie wiadomość, iż pan podkomorzy, zamiast grzybów i wiunów, przywiózł sobie z Litwy nową żonę! Wszystkie matki na 9 mil

dokoła nie bardziejby się były obruszyły na odebraną wiadomość iż w nocy wykradziono im córkę, aniżeli przejęte zostały zgrozą na rzecz tak niesłychaną, ażeby ktoś, pominąwszy cały powiat, sprowadzał sobie żonę o mil kilkadziesiąt! sprowadzał żonę litwinkę, nikogo się nie radząc, nikogo nie pytając, nikomu nie zwierając się w zamiarach swoich!!! Zrazu spiknięto się nawet ażeby żadna słuszna obywatelka nie ważyła się więcej mieć związków z panem podkomorzym, jako widocznym szaleńcem i waryatem; wkrótce atoli, przypomniawszy że pan podkomorzy, będąc nawet wdowcem, co roku po kilka razy, wyprawiał sąsiadom zabawy; z gruntownej uwagi na to, że po w nowym jego stanie zabawy te nie mogły się zmniejszyć co dolieczyby, i owszem, w ożywieniu jakie zwykło w domach nowożeńców panować, większe jeszcze pannom na wydaniu obiecowały korzyści; zważywszy na dawną z domem jego zażyłość, i otwartość jego charakteru, — poniechały nierozważnego przedsięwzięcia, i na wyścigi nawet poczęły się starać o znajomość z nową panią podkomorzyną, chociaż powszechnie mówiono iż była największą w całej parafii dziwaczką i męzulka, jak wszystkie litwinki, okropnie za nos wodziła: czego wszakże żadna z sąsiadek nie poczytywała jej za złe.

W rzeczy samej nowe to małżeństwo sprawiło okropną rewolucyą w całej domowej administracyi P. Podkomorzego.

Wolny niegdyś jak strzała, i samowładny jak żyd w karczmie, po opłacie arędy, uchylił nagle szyję pod jarzmo nowej żony swojej, przed której pięknemi oczami nikła, jak poranna mgła przed słońcem, wszelka jego wola. Służący, konie, powozy.... wszystko drzeć poczęło, jak liść jesienny, przed świeżem technieniem drobnych jej usteczek. Sama nawet szlafmyca P. Podkomorzego, tak niegdyś dumnie wznosząca swój spiczasty koniec, zjechała na bakier i zwieszała pokornie żółty kutas przed obliczem swej władczyni. Słowem wszystko padało na twarz przed nową panią, której dziwactwo niezliczone też znajdowało



sposobności do okazywania zdumionemu światu swej nieograniczonej potęgi nad P. Podkomorzym, który, na rozkaz swojej Anusi, gotówby był nawet, chociaż w szlafroku, jechać stylu za jej pojazdem na mszę do parafijalnego kościoła.

Ale ten ostatni przypadek nie mógł prawie mieć miejsca, gdy pani Podkomorzyna, raz tylko po ślubie z mężem sąsiadów objechawszy, nigdzie z nim później razem nie jeździła; owszem, najczęściej czyniła wycieczki do sąsiadów, a nawet na reduty do Dubna niespodzianie, bez wiedzy męża, który we wszystkim szanował świętą wolę swej Anusi.

Myślałby kto może, iż przy tak nieograniczonej władzy nad ciałem i duszą męża, przy dostatnim majątku, zdrowiu i młodych latach, gdyż zaledwie liczyła rok 21, pani Podkomorzyna była szczęśliwą? Wcale nie. Dziwactwo jej do tego posunięciem było stopnia, iż przy wszystkiem za czem się pospolicie ludzie ubiegają, ciągle była smutną i niepokieszoną. Smutek jej nie pochodził ze straty pierwszego męża, którego zgon nie nader był jej bolesnym: nigdy bowiem nie wspominała jego nazwiska, na uczynioną zaś przez kogokolwiek w tym przedmiocie wzmiankę wdrygała się ze wstrętem i nadawała nagle inny obrót rozmowie. Ani też mogła uskarżać się na oziębłość i nieczułość drugiego, gdyż P. Paweł rzęsiście nawet lzy ronił gdy, z wierzchołka stérty, układanej w przyległym ogrodowi gumnie, widział ją przechadzającą się w ponurym milczeniu, po usypanych piaskiem chodnikach, lub wdychającą smutnie na darniowej kanapie, — którą był dla niej własną ręką ułożył, — gdy i zielenie drzew, i wonia kwiatów, i radośne szczebiotanie ptaszek i wszystko do koła wesołością tchnąc się zdawało: chociaż i drzewom, i kwiatom i ptakom groziła szybko nadchodząca jesień, kiedy przeciwnie, wiosna pani Podkomorzyny długą jeszcze obiecywała trwałość. Było to kobiece dziwactwo, czyniące ponurą trzpiotkę może jeszcze miłszą w oczach starego męża.

3 Września 18**, P. Podkomorzy wstał, jak zwykle, przed świtem; przywdział szlafrok, podpasal się czerwoną chustką, nasunął szlafmycę, i wyszedł w pole dla doglądania oraczy. Cicho odmawiając różaniec chodził pilnie za każdym pługiem; wyrwał rękami głęboko wkorzeniony perz i chwasty; zachęcał każdego konia do gorliwszej pracy, szturchając go w żebra okutym swoim kijem; i, słońce wy-

soko już było na niebie, kiedy nagle, otarłszy dłonią spótniałe czoło, przypomniał sobie, iż to był właśnie dzień jego urodzin. Chociaż albowiem pamiętał doskonale urodziny, chrzciny i imieniny żony i syna swojego, i ostatniemu zawsze posyłał na wiązanie kilka białych assygnat, mało dbał o własne, i tylko dziwnym jakimś przypadkiem na tę myśl potknawszy, chciał pochłubić się przed żoną, iż skończył mu się właśnie 54 rok życia. Podkaszuje więc szlafroka, nasadza głębiej szlafmycę, i z okutym kijem w dłoni, jak nowy Pelid z dzidą, bieży kłusem do dworu. Lecz jakże został zdziwiony, gdy na zapytanie gdzie żona, odpowiedziano mu oziębłe że Jejmość, właśnie po kawie, kazała zaprzędz konie i, nie wiadomo dokąd, wyjechała.

Uderzony jak obuchem P. Paweł, zasiadł smutny u biurka, podparł jedną ręką głowę, wziął w drugą kalendarz Berdyczewski i począł szukać pod jaką się też planetą urodził, narzekając iż tak mało teraz astronomowie piszą o lunacyach i konjunkturach gwiazd i księżyca.

Wtem, nagle, zadzwonił na dziedzińcu dzwonek, zatrzymały się przed gankiem koła, i, jak huragan, wpadł nieszczęściem do samej izdebki pana Podkomorzego jakiś nieznajomy oficer.

Ale nie był to wcale oficer jakiego sobie zwykle na wspomnienie tego słowa wyobrażamy. Nie był to żaden z owych młodych, złotem przetykanych chłopców, na którego uśmiech wyszczerzają tak zębki nasze ładne gąsienice; którego ostrogi są bodźcami zapalonych serduszek; którego fryzowane włosy, przy jakkolwiek wygłodniałym żołądku, czarują wszystkie spojrzenia. Lecz wyobraźcie sobie starego żołnierza, świeżo wracającego z wojny; którego lica, wybladłe długością choroby, pogarbowane głębokimi szramami, więcej mają podobieństwa do chińskiego rękopisu, niżeli do twarzy ludzkiej; którego wola, zahartowana w bojach, jak stal w słonej wodzie, nadaje całej postaci niezłomną, surową powagę; wyobraźcie sobie iż takie blade, surowe widziadło, zjawia się nagle przed wami, gdy w szlafroku i szlafmycy, czytacie sobie spokojnie Berdyczewski kalendarz, i głosem do dalekiego grzmotu podobnym przerywa wasze dumania, — a łatwo pojmiecie, jak zdziwionym być musiał P. Paweł, gdy oficer wręcz go zapytał gdzie znajduje się Podkomorzyna?

— Pani Podkomorzyna? wszak, ale, ho,

mości dobrodzieju, tego, ja sam nie wiem. Wyjechała podobno, ale tego ja sam mości dobr. nie wiem. Zapewne że z czasem powróci.

Pan Podkomorzy do tego stopnia został przerażony nagłym wtargnięciem siły zbrojnej, iż zapomniał był nawet o szlafroku i szlafmycy, i począł dopiero myśleć o odwrocie, gdy wyznał przed oficerem iż pani Podkomorzyna jest własną jego żoną, zawsze powtarzając że sam nie o niej nie wie. Czoło oficera, poczęło się coraz bardziej chmurzyć, chociaż skądinąd na jego twarzy, zdawała się wracać spokojność i zimna rozważa, której s początku nie wiele w oczach jego widać było. Po krótkim namyśle, oświadczył iż jest krewnym i dawnym znajomym jego małżonki i że chciałby koniecznie doczekać się jej powrotu, na co P. Paweł najchętniej się zgodził, i coraz poprawując kołnierz szlafroka i zakrywając nim piersi, począł się uniewinniać z niedbałości swojej toalety, i chciał właśnie wychodzić gdy dał się znowu słyszeć przed gankiem turkot kilku pojazdów, i piorunem wpadła do pokoju siostra jego pierwszej żony, P. Sędzina, z kilką krewnymi i przyjaciółkami. P. Podkomorzy schował się naprzód za drzwi, lecz gdy i tam go odkryto, porwał się jak oparzony za poły i skokiem wyleciał przebieierać się do ogrodu.

Po upływie kwadransu, P. Podkomorzy zjawił się już urzędowicie, w świątecznym szaraczkowym fraku i tabaczkowych spodniach, z pięknie obwiązaną na szyi chustką, w której broda nieogolona topić się zdawała i do połowy prawie, jak cyranka w błocie, zanurzać. Począwszy ukłony od samych drzwi, ucałował kolejno rączki wszystkich dam, dalej mężczyzn w lića, i wszystkim nieustannie kłaniając się i przepraszając, dowiedział się wreszcie iż chciano mu zrobić na urodziny *surprise*, i zabawić wesoło dni kilka w jego domu, dokąd pani Sędzina pozwoliła sobie na ten koniec niemało gości sprosić. Przywiozła nawet z sobą dwóch muzykantów: skrzypaka i basetlistę.

— Ależ siostrzo dobrodziejko, co na to powie moja żona, bez której.....

— Bez której obeszlibyście się jak i bez pierwszej, gdyby umarła, podchwyciła Sędzina, i bez której doskonale możemy pohasać, gdy ona bez was hasać sobie może.

— Mościa dobrodziejko, ja tego boję się słyszeć, bo moja Anusia tego czasem nie lubi. Ale gdy siostrunia już tak tego koniecz-

nie chce, to już też trzeba ryzykować: wygrał, przegrał...!

I pobiegł cwałem do klucznicy zamówić dobry, szlachecki obiadek, wydobyć głowę cukru — którego zawsze dobry chował zapasik, ażeby potem drogo nie przyszło się płacić biorąc funtami od arędarza, — i czynić wszystkie przygotowania dla przyjęcia gości, którzy, nie zawodząc nadziei P. Sędziny, około wieczora, poczęli pomału się zjeżdżać, i, ciężko ładowne koczki, bryki, kałamaszki, wysypały przed gankiem nie mały zapas sędzin, chorażyn, sędzianek, stolnikówien, tudzież spułtuzina sędziów, podsędków i podsędkowiczów.

W sali PP. Podkomorstwa nie było słychać prócz samego emokania rąk, rączek, ust, usteczek i policzków. Przypomnijcie sobie bowiem, kochani czytelnicy, że każdy z dobrze między sobą znajomych sąsiadów musi ucałować niechybnie rączki wszystkich dam, każda z kobiet usta każdej kobiety, i że nakoniec mężczyźni sami jeszcze między sobą koniecznie emokać się muszą: pomnożcie przez trzy liczbę wszystkich gości, i wynieście mnogość do potęgi trzeciej, — ze względu na to, iż szczerłość przyjacielska każdą rączkę i każde usta czy bakenbardy, za jednym zamachem, całować kilkokrotnie każe — a nie będziecie się dziwić iż do godziny siódmej wieczorem, odgłos całusów nie słabiał i szumiął nieprzerwanie jak w stodole echo młócarskich cepów.

Jeden tylko człowiek martwym był w całym ciągu tak ożywionej sceny; jeden nikogo nie znał, z nikim się nie witał, i stał oparty o okno, jak krzyż na cmentarzu, wśród płaszących i cieszących się do koła niego na wielkanoc wieśniaków. Był to nieznajomy oficer. Założywszy nogę za nogę, ramię za ramię, trzymał wzrok wlepiony w bramę dziedzińca i obojętnym się zdawał na wszystkie szepty, śmiechy, hałas i wrzawę coraz wzrastającego w radość towarzystwa.

I nie wiele też towarzystwo traciło na jego obojętności; wzrokiem albowiem swoim siał niepojętą trwożę w piersiach każdej kobiety, i wszystkich dreszcz przejmował na sam prawie widok jego surowej, pokrytej bliznami i śmiertelną bladeścią twarzy.

Po dobrej herbacie, z sucharkami posypywanymi cukrem i cynamonem, Pani Sędzina, sprawująca w nieobecności krewniej swojej urząd gospodyni, otworzyła tańce w polonezie z P. Stolnikiem, i wiejska zabawa rozpoczęła się w całej okazałości. Przywieziony przez

Panią Sędzinę skrzypak z basettistą i miejscowym kredencierzem, fałszywie piszczącym na klarynecie, składali szumną muzykę, której takt wybijały trzewikami stare matki, siedzące do koła salonu, i jeden tłusty podsędek, co usadowiwszy się na dwóch krzesłach w kącie, ze skłanką pończu w ręku, z całej siły kutęmi butami swojemi o posadzkę tupał, i głowę naprzemian to w takt na obie strony, to do skłanki nachylał. Młodzież plei obojga związała się chyżo na środku; a mazurki, walce, kadryle, bez przerwy po sobie następując, czarowały wszystkie ich zmysły i przenosiły do owego stanu niebieskiej błogości, w którym piękna tancerka zapomina o wszystkim, przemienia się duchem w ulatującego do koła kwiatów motylka, i cieszy się niezem nie przyémioną radością i pychą, z własnej lekkości i podziwienia, jakie nieci w tłumach cisnącej się do koła młodzieży. — Starsi mężczyźni zasiedli do wista i ćwika, każdy zbrojny skłanką wonnego pończu, i rozłożywszy przed sobą, zamiast brzęczącej gotowizny, kupki fasoli, zatopili się całkiem w roskoszach tej zabawy: tylko kiedy niekiedy, w czasie rozdawania kart, które dla ich starości i chropowatości nader długo trwało, wtrącając jakie słowo o polityce, według dodatków Kuryera. Jeden tylko znajomy nam oficer do niczego nie należał i na wszystko obojętnym poglądał okiem.

Tymczasem zabawa stawała się co chwila bardziej ożywioną. Zbawienny pończ i stary węgrzyn, którego kilkanaście butelek P. Podkomorzy wywindował z lochu, coraz bardziej wszystkim rozwiązywał języki. Te ostatnie, podczas wieszery, którą około 12ej zastawiono, do tego nawet stopnia stały się ruchawemi, iż wszyscy już razem mówili, cieszyli się, winiszowali, wnosili zdrowia i serdecznie je spijali. Wrzawa wzmagała się coraz, zawsze jednak była jednostajną, i tylko przy spełnieniu zdrowia solennizującego gospodarza i nieobecnej jego małżonki wzniosł się powszechny okrzyk, powszechny dźwięk kieliszków i powszechny jęk krzesel, boleśnie stękających pod opadającym ciężarem wesolych spółbiedniaków.

Po skończonej wieszery wrócili znowu tańce, znowu stoliki gier; lecz znikła fasola, a zabłysło wydobyte z ciasnych kiesek srebro i złoto. Zbliżył się nawet do jednego z nich milczący nasz oficer i cisnąwszy o stół paczek białych assygnat, założył bank w faraona.

Jakaż chimeryczną istotą jest to szczęście kartowe, ten los co w mgnienu oka przenosi z rąk do rąk owoce wieloletnich trudów i ciągle z najmilszych ludzkich natrzasa się nadziei. Widząc, zdaje się, po raz pierwszy kuszących się o jego łaskę nowicyuszów, których powszechna wesolość i wino do gry zagrzało; widząc poważne grono spokojnych wsi mieszkańców, zgromadzonych do koła jakiegoś dzikiego, odludnego człowieka, którego całe życie spędzonym może było na oddawaniu należnego sobie holdu, duch egypckiego monarchy powinienby zdaje się zapomnieć na chwilę jednego, dla zjednania sobie wszystkich, których pierwsza przegrana na zawsze odstręczyć może. Lecz rzecz wcale inaczej się miała. Karty w palcach bladego oficera zdawały się zakłętymi, i wszyscy gracze przejęci byli mimowolnym dreszczem widząc jak srebro, złoto, papiery, przechodziły systematycznie, w postępie coraz rosnącym do spólnego ich nieprzyjaciela, który ciągle też samą zimną krew zachowując, śród powszechnych wykrzykników boleści i podziwienia, z obojętnością zgartywał ku sobie pieniądze, jak parobek w stodole zgartyuje łopata pszenicę.

Wszyscy kolejno poczęli nieszczęsny stolik opuszczać, po przegraniu własnej i pożyczonej na szczęście gotowki. Każdy, blady, z rozwartemi oczami i usty, w rozpacz prawie, ciskał za siebie zakłete krzesło, na którym przesiedział owoce długiego przesiadywania w domu, i nakoniec pozostał u stolika sam tylko oficer. Usta jego zdawały się wprowadzić składać do uśmiechu; lecz nie był to uśmiech pospolity, uśmiech tryumfalny na widok nagromadzonego chwilowem szczęściem złota; był to raczej wyraz roskoszy z zawiedzionych nadziei swoich przeciwników; uśmiech szatański, z zadanego im cierpienia i zgryzot które im miały ściągnąć wymówki nieochybne żon i córeczek, za marnotrawienie pieniędzy, któreby korzystniej na kapelusze i wstążki użytymi być mogły. Twarz jego tak w chwili tej była przerażającą, oczy tak piekielnym jaśniały blaskiem, usta taką wyrażały wszystkie pogardę, iż każdy kto tylko odważył się nań spojrzeć wnet z trwogą oczy opuszczał, i z dreszczem przebiegającym kości w stronę się odwracał.

(Dokończenie w prz. N.)